

Z życia akademickiego

Przypadek czy perfidna taktyka?

Ustawa inżynierska grozi rozbić
wśród młodzieży technicznej

Jak donosimy na innym miejscu na Wyższych Uczelniach odbywają się obecnie Nadzwyczajne Walne Zebrania organizacji akademickich, na których przeprowadzane są zmiany statutowe i regulaminowe w związku z wejściem w życie nowego rozporządzenia o szkołach akademickich.

Ten pozornie drobny fakt natury zasadniczo porządkowej - administracyjnej nabiera jednak na tle sytuacji na terenie akademickim, wytworzonej już szeregiem lat temu, swoistego znaczenia.

Wobec jednolitości narodowego oblicza młodzieży akademickiej od r. 1933 rozpoczął się okres posunięć i w stosunku do młodzieży akademickiej, które po zornie ze sobą wcale, albo bardzo słabo się wiązały, istotnie jednak jak się obecnie okazuje stanowią pewną całość pod względem efektu jaki wywołały w życiu.

A więc sprawa czesnego, jego podwyższenie w okresie, kiedy wszelkie warunki wskazywały na konieczność zarządzenia wręcz odwrotnego, następnie wprowadzenie sygnnej ustawy Jędrzejewicza i związana z nią trudność i zamęt w życiu młodzieży, odebranie młodzieży domów akademickich, powstałych dzięki pomocy i ośrodkom tejże młodzieży, ostatnio zaś projekt ustawy o tytule inżyniera, który na równi z inżynierami dotyczy młodzieży akademickiej szkół technicznych.

Rezultaty tego wszystkiego zawsze były jednakowe. Podwyżka czesnego, to początek dwuletnich przesłuchów na terenie akademickim, ustawa jędrzejewiczowska - dezorganizacja życia akademickiego i ruina, domy akademickie - skandaliczne stosunki w domach i zajęcia.

Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze inny czynnik - sprawa żydowska, ciągnąca się przez lata całe i nie mogąca się doczekać ze strony władz ostatecznego i zdecydowanego rozwiązania.

Wszystko to razem wywołuje jeden efekt stałe zajęcia na uczelniach i przerwy w nauce, a w rezultacie po dłuższym okresie czasu zmusza władze do cofnięcia się z zajętego stanowiska, co nie podnosi ich autorytetu.

Te wszystkie sprawy stwarzały stałe niebezpieczeństwo rozbić wśród młodzieży. I o ile każda z nich miała różny przebieg, wywoływała inną reakcję, to zawsze jeden efekt był wspólny - stwarzały one wszystkie niebezpieczeństwo rozprawy wewnętrznych wśród młodzieży.

Na szczęście młodzież akade-

micka jest na tyle wyrobiona, na tyle solidarna i zwarta ideowo, że w ostateczności efekt ten najgroźniejszy - rozbić, ostatecznie nie został osiągnięty, a przeciwnie, poprzez drobne stosunkowo tarcia wewnętrzne doprowadza do coraz to większej jednomyślności.

To natomiast, czego nie dało się osiągnąć wśród samej młodzieży akademickiej, rozbić,

postawienia poszczególnych grup wobec innych sprzecznych interesów, to grozi teraz na odcinku współzycia młodzieży akademickiej z nieakademicką.

Trzeba pomyśleć o tym, że młodzież akademicka nie uważa się za jakiś odrębny klan, czy warstwę społeczną, przeciwnie wykazuje silne współzycie z ogółem młodzieży i jedynie dzięki swemu specjalnemu położeniu

wysuwa się na czoło młodego pokolenia.

Teraz wypływa sprawa tytułu inżyniera.

Wiele się pisało już i mówiło na temat tej ustawy i jej znaczeniu dla przemysłu, nauki i gospodarki, ale niedoceniane jest jedno z najistotniejszych jej niebezpieczeństw - rozbić w świecie technicznym między młodzieżą akademicką i innych szkół technicznych.

Znowu mamy więc projekt zarządzenia, które jak poprzednie w efekcie swoim ma dać wśród młodzieży tarcia. Nie będą one wewnątrz młodzieży akademickiej, ale grożą załamaniem współzycia akademików i nieakademików.

Młodzież i akademicka i nieakademicka musi dołożyć wszelkich starań, by do tego rozbić nie dopuścić.

W trudnej obecnie sytuacji musi dla niej być przykładem właśnie los ustawy jędrzejewiczowskiej, załamanej w najperfidniejszej jej części - kluczu wyborczym, tym kluczu, który miał rozszepścić młodzież, że przez wytrwałą, konsekwentną i wspólną akcję, i sprawa inżynierska oraz jej jawne i ukryte niebezpieczeństwa zostaną zażegnane.

Młodzież Polit. Warszawskiej
w obronie tytułu inżyniera

Sprawa obrony tytułu inżyniera w dalszym ciągu zajmuje całkowicie umysły wszystkich studentów Politechniki Warszawskiej. Młodzież wszystkich wydziałów i lat studiów z napięciem obserwuje rozwój wypadków.

Całą akcją w tej sprawie kieruje z ramienia młodzieży aka-

demickiej Zrzeszenie Kół Naukowych St. Pol. Warsz.

Obecnie został ułożony następujący kalendarz przewidywanych terminów w tej sprawie:

Piątek 28. I. g. 13.15 w lokalu Politechniki 3-ci wiec informacyjny.

Poniedziałek, 28. I. zjazd delegatów organizacji ak. Pol. Warsz. Lwowskiej i Akademii Górniczej w Krakowie;

Czwartek, 3. II. dyskusja w Sejmie nad budżetem M. W. R. i O. P.;

Sobota i Niedziela 5 i 6. II. projektowane zwołanie zjazdu b. wychowanków Pol. Warsz. i wspólne zebranie z młodzieżą akad.

Paragraf aryjski

W niedzielę dnia 30 b. m. o g. 17-ej w gmachu audytoryjnym Uniwersytetu Warszawskiego odbędzie się Nadzwyczajne Walne Zebranie członków T-wa Bratniej Pomocy w sprawie zmian statutowych. Projektowane jest tak jak na innych uczelniach skasowanie jędrzejewiczowskiej ordynacji wyborczej pięcioprzymiotnikowej, a zastąpienie jej regulaminem wyborów, przewidującym zwykłą większość przy wyborze zarządu, a wybory pięcioprzymiotnikowe dla Komisji Rewizyjnej i Sądu Koleżeńskiego.

Poza tym proponowana jest zmiana brzmienia t. zw. paragrafu aryjskiego. Dotychczas mówił on, że członkiem Bratniej Pomocy może być jedynie obywatel polski, chrześcijanin i t. p. Obecnie miałby wyrażnie precyzować w oddzielnym artykule, że członkiem nie może być wyznający religię mojżeszową, ten co wyznawał religię mojżeszową oraz pochodzący z rodziny wyznającej tę religię do trzeciego pokolenia włącznie.

CZY PANI WIE,
PUDER HIGIENICZNY

Lab. Chem. Farm. M. MALINOWSKIEGO Warszawa, Chmielna 4

daje piękną karnację, a nie niszczy cery

Do nabycia we wszystkich, pierwszorzędnych firmach



Lab. Chem. Farm. M. MALINOWSKIEGO Warszawa, Chmielna 4

daje piękną karnację, a nie niszczy cery

Do nabycia we wszystkich, pierwszorzędnych firmach

— No, więc jakże, panno Anko? — pytał. — Czy nareszcie zdecyduje się pani podejść do mnie? Ten niecierpliwy, kapryśny ton upewnił ją ostatecznie, że to rzeczywistość. Wyrwała naprzód tak zwawo, jakby widziała doskonale drogę. W następnej chwili była już przy nim.

— Co się panu przytrafiło właściwie?

— Czy ja wiem? — odpowiedział po chwili namysłu. — To ten diabelski ptak — widziała go pani? — natarł na mnie z takim impetem, że upadłam. Jeżeli mi się to zdarzyło, to dlatego tylko, że stchórzyłam. Tak, stchórzyłam — mówił i znowu w jego głosie zadźwięczało zniecierpliwienie i gniew. — Stchórzyłam, a jednak wcale się tego nie wstydę. Każdego na moim miejscu byłoby wlec się błąd w strach, gdyby mu się pokazało coś takiego.

— Ja też stchórzyłam — przyznała pośpiesznie. — Zemdlałam nawet. Widziałam przecież, że pan upadł. Czy przypadkiem nie zламаł pan sobie nogi? — załaskała się.

— Zaraz. Opowiem wszystko po kolei. Mam przecież tyle czasu. Więc i pani widziała tę... tę... Złotą Kaczkę? Nie uwierzy pani, jaki mi to zdejmuję ciężar z serca. Bo ja, kiedy wszystko zniknęło, pomyślałam, że już ze mnie wariar. No, i to dobre, że przynajmniej umrę przy zdrowych zmysłach — roześmiał się gorzko.

— Cóż za mści! — zaoponowała ze zgrozą. — Niech pani nie przerywa. Ołóż, kiedy dałam nurka po raz drugi, udało mi się nareszcie dotrzeć do tego kufka ze skarbami. Stał obok beczek ze złotem, z których zaczęłam przedtem garść dukatów. Obawiałam się, że będzie za mknęły, ale ku mojej radości okazało się, że wieko było uchylone. Prawdopodobnie zamek przeżarła rdza. Zapuściłam rękę do wnętrza kufra i pierwszym przedmiotem, jaki napotykałam, była... no, nie domyśla się pani, co?

— Złota korona.

— Coś w tym rodzaju. Mitra książęca — wykrzyknął z triumfem. — Ta sama, z którą obnosił się Wasyl Ostrog-



Z teatru o teatrze

Smak próżniactwa

TEATR „ATENEUM” — „Cieszymy się życiem” — komedia w 3-aktach M. Harta i G. S. Kaufmanna.

„Domowe” węże i pirotechnika, amatorska drukarnia i — patentowane karmelki, sport luczny i taniec, „twórczość” dramatyczna i łowienie much — oto główne zajęcia rodziny Sycamore'w i Carmichael'ów pod dobrotnym patriarchatem dziadzia Wanderhafa.

Dziadzio Wanderhof robił interesy tak długo, dopóki nie spostrzegł, że żyje zbyt szybko. Wówczas „zwolnił tempo” i zaczął hodować węże, strzelać z łuku i „uczęszczać” na uniwersytecie (bo było blisko). Jego żona zajęła się pirotechniką, a córka pisaniami sztuk scenicznych (bo w domu znalazła się niepotrzebna maszyna do pisania). Wnuczka „wynalazła” nowy typ karmelków i zaczęła uczyć się tańca (beznadziejnie), a jej mąż na przemian: grał na ksylofonie i drukował menu obiadowe.

Wszyscy oni „cieszą się życiem”, będąc głęboko przekonani, że żyją naprawdę. Jest to jednak pomyłka. Cała gromadka wegetuje sobie spokojnie, leniuchuje z zamilowaniem, wynajdując sobie namiastki pracy, prawdopodobnie w celu lepszego odczucia — smaku nieróbstwa. Są to bowiem smakosze próżniactwa, delectujący się nim. Przypominają mszyce, „pokojnie i beztrosko chępczące sok drzew bez względu na to, czy słońce świeci, czy deszcz pada, czy burza rozpędza ptactwo leśne, czy trzęsienie ziemi kruszy skały. Półki drzewo, na którym żyją trzyma się, nie obchodzi go nic. Gromadka dziadzia Wanderhafa jest znakomicie odizolowana od reszty społeczeństwa i jego spraw. Nie obchodzi ich nic z tego, co się dzieje poza obrębem ich domu, a to, co stamtąd do nich

przychodzi zostaje przefiltrowane przez zapyry ich dziwactw.

Hart i Kaufmann twierdzą, iż każdy ma swoje dziwactwa, sobie tylko właściwe upodobania i skłonności, które nadają każdemu piętno indywidualizmu. W tym mają rację.

Być może, iż komedia tych panów ma swój głębszy sens w Ameryce, gdzie pokazuje ludziom lekką karykaturę rzeczywistości, jaką mogą napotykać w życiu. W naszych stosunkach wygląda ona na kaprys fantazji autorów, którzy widzą wprawdzie pewne rzeczy głębiej, lecz nie chce im się mówić o nich poważnie. Wskazują na nie jakby niedbale, od niechcenia. Niczego nie krytykują, lecz i niczego nie pochwalają. Nie twierdzą wcale, aby próżniactwo było czymś interesującym, ale nie twierdzą też, aby praca dawała zadowolenie.

„Cieszymy się życiem”, to leniwy produkt leniwej myśli, na użytek leniwych umysłów. Komedia nie ma żadnych pretensji do jakiegokolwiek „głębi”, dlatego też może dostarczać rozrywki.

Jaracz w każdej roli czuje się dobrze, w roli dziadzia Wanderhafa wygląda jakby był na wakacjach. Ale są to wakacje artystyczne, więc Jaracz — stworzył nowe arcydzieło. Perzanowska — na bardzo wysokim poziomie. Wyróżnia się całę zespołu Kryńska, Jaraczówna chyba źle czuła się w swojej roli. Komedię reżyserował Chmielewski, nie szczędząc efektów, które publiczność przyjmuje oklaskami. Chmielewski po swej znakomitej kreacji w „Pannie Maliczewskiej” utrzymuje się w formie. Dekoracje skomponował Dąbrowski.

Stanisław Grzelecki

Stulecie urodzin M. Bałuckiego

STOLECZNY TEATR POWSZECHNY: „Dom otwarty” — komedia w 3-aktach, Michała Bałuckiego.

Ruchliwy Stoleczny Teatr Powszechny pod kierownictwem Eugeniusza Poredy, dla uczczenia setnej rocznicy urodzin Michała Bałuckiego wystawił jedną z najlepszych jego komedii mieszczańskich „Dom otwarty”. Reżyser Poreda poszedł po linii groteski, mogącej budzić pewne zastrzeżenia. Jeśli się jednak zważy

na publiczność, której Teatr Powszechny służy — jest nią niemal wyłącznie publiczność przedmieść i peryferii stolicy — należy przyznać, iż Poreda dał komedii Bałuckiego wyraz właściwy.

Zrozumienie twórczości Bałuckiego ułatwiają krótkie prelekcje, wygłaszane przed każdym przedstawieniem. Zespół aktorski Teatru Powszechnego dokłada wszelkich starań, aby wystawiane sztuki nabierały jak najwięcej ekspresji, aby jak najwyżej przemawiały do wyobraźni widzów. Spośród obsady „Domu otwartego” wyróżnili się pp.: Elżbieta Smolarówna w roli Janiny Zelskiej i Halina Bełkowska w roli Pulcheri, oraz K. Tomaszewski, F. Żukowski, K. Związek i A. Wzorzycowski.

Stanisław Grzelecki

ABC ŻADAC

W kioskach Ruchu
U sprzedawców ulicznych
W urzędach pocztowych
We własnych punktach sprzedaży

JERZY MARIUSZ TAYLOR

75)

CZCICIELE
WOTANA
POWIEŚĆ

Poczuła nagle, że krew stygnie jej w żyłach, bo szmer powtórzył się raz jeszcze. Ale w ślad za tym ogarnęła ją ogromna radość. Usłyszała słaby szept:

— Panno Anko... więc pani... ży... żyje?

— Ależ żyję! Żyje! — krzyknęła zrywając się z miejsca — Żyje! Gdzie pan jest?

— Tu — szeptał cichy głos. — Tutaj. Zupelnie blisko. I nic... doprawdy nic mi nie jest. Tylko... tylko... wcale nie mogę się ruszać.

— O, Boże! — zawołała załamując ręce.

Chciała biec w stronę głosu, ale zatrzymała się przezorność. Nie miała pewności, w którą stronę ma się skierować, a przy tym opadł ją zabobonny strach. Czy to rzeczywiście Alfred odzywał się do niej z mroków? A może to była tylko złuda, albo gorzej jeszcze — dalszy ciąg fantastycznej bajki, której oboje stali się bohaterami? W tych ciemnościach zatracali się poczucie granicy między rzeczywistością i urojeniem, między życiem i snem. I nie na próżno prawda gadka odwieczna, że w tym podziemi znajduje się siedziła siła nieodgadnionych, nieznanych — kto wie — może wrogich i pełnych złości.

Ponowne odezwanie się Alfreda przechyliło szalę wahania tym bardziej, że głos młodego człowieka tym razem brzmiał wyraźniej, nie urywał się, był mocniejszy i, co najważniejsze, dźwięczały w nim nuty zniecierpliwienia.

— No, więc jakże, panno Anko? — pytał. — Czy nareszcie zdecyduje się pani podejść do mnie? Ten niecierpliwy, kapryśny ton upewnił ją ostatecznie, że to rzeczywistość. Wyrwała naprzód tak zwawo, jakby widziała doskonale drogę. W następnej chwili była już przy nim.

— Co się panu przytrafiło właściwie?

— Czy ja wiem? — odpowiedział po chwili namysłu. — To ten diabelski ptak — widziała go pani? — natarł na mnie z takim impetem, że upadłam. Jeżeli mi się to zdarzyło, to dlatego tylko, że stchórzyłam. Tak, stchórzyłam — mówił i znowu w jego głosie zadźwięczało zniecierpliwienie i gniew. — Stchórzyłam, a jednak wcale się tego nie wstydę. Każdego na moim miejscu byłoby wlec się błąd w strach, gdyby mu się pokazało coś takiego.

— Ja też stchórzyłam — przyznała pośpiesznie. — Zemdlałam nawet. Widziałam przecież, że pan upadł. Czy przypadkiem nie zламаł pan sobie nogi? — załaskała się.

— Zaraz. Opowiem wszystko po kolei. Mam przecież tyle czasu. Więc i pani widziała tę... tę... Złotą Kaczkę? Nie uwierzy pani, jaki mi to zdejmuję ciężar z serca. Bo ja, kiedy wszystko zniknęło, pomyślałam, że już ze mnie wariar. No, i to dobre, że przynajmniej umrę przy zdrowych zmysłach — roześmiał się gorzko.

— Cóż za mści! — zaoponowała ze zgrozą. — Niech pani nie przerywa. Ołóż, kiedy dałam nurka po raz drugi, udało mi się nareszcie dotrzeć do tego kufka ze skarbami. Stał obok beczek ze złotem, z których zaczęłam przedtem garść dukatów. Obawiałam się, że będzie za mknęły, ale ku mojej radości okazało się, że wieko było uchylone. Prawdopodobnie zamek przeżarła rdza. Zapuściłam rękę do wnętrza kufra i pierwszym przedmiotem, jaki napotykałam, była... no, nie domyśla się pani, co?

— Złota korona.

— Coś w tym rodzaju. Mitra książęca — wykrzyknął z triumfem. — Ta sama, z którą obnosił się Wasyl Ostrog-

ski. Była miękka i oślizgła, bo to przecież tylko taka czapka z gronostajowego futerka. Zdążyłem namacać na niej szereg okrągłych i twardych jakby guzików, no i obręcz metalową. Wtedy wiedziałem już, jaka to trafiła mi się graika. Pochwyliłem moją mitrę w garść i chodu na powierzchnię.

— Nie zauważyłam, kiedy się pan wynurzył z wody, ale widziałam, jak pan płynął — odezwała się Anka.

— Jak wyścisłowicie, co? No, to już była ucieczka. Nie wiem, skąd się wziął ten przeklęty ptak. Chyba siedział w skrzyni ze skarbami. W każdym razie gonił mnie już pod wodą. Płynął razem ze mną i — wie pani — tak jakoś zrobiło mi się wtedy głupio, że nawet nie dziwiłem się, że widzę wszystko. Nie dziwiłem się i wtedy, kiedy już wypłynąłem na powierzchnię. Ale za to potem... Rany Boskie! Jak pomyśle sobie, co to za jasność się zrobiła. Już dawno wszystko zgąszo, a ja wciąż jeszcze miałam tę jasność w oczach. Nawet wtedy, kiedy doczołgałem się do mojego ubrania i wkładałem je z trudnością. Gdyby nie mści o pani, która mi nie dawała spokoju, mściłabym tylko o tej hecy ze Złotą Kaczką. To było przecież... to było coś... Och! — urwał nagle z głośnym jękiem.

— Panu coś dolega — zaniepokoiła się Anka. — Dlaczego pan nie mówi mi, co się panu stało?

Odpowiedź nie nastąpiła od razu. Minęła dłuższa chwila milczenia. Tylko leciutko pluskały rozkołysane wody jeziora i w górze, gdzieś hen wysoko, od czasu do czasu w szybkim, nerwowym przelecie zaszeleściły jedwabiste skrzydła płoszonego nietoperza.

Wreszcie Alfred odezwał się znowu:

— Próbowalem wstać. Nie mogłem. Doprawdy nie mogę, panno Anko. I, wie pani co? Chciałbym, aby pani jak najprędzej ruszyła z powrotem do domu. Ja zostanę, bo widzi pani, przytrafił mi się... no, przykry wypadek. Zdaje się, że... że... zламаłem nogę.

(D c. n.).